№ 12. 20. Marca 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek Literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Kwestja szląska

napisał

Wojciech Szukiewicz.

„I gdy do cię przyszedł i pozdrowił
Cię w imię Boga i gdyby ci mówił
Takowy kapłan, że jest sługą Chrysta,
Jeżeli u niego w pogardzie ojczysta
Mowa, nie wierz mu, nie wierz — on kłamie!“

Jan Kubisz: „Śpiewy starego Jakóba.“

Na »Brackiej studni« (Brüderbrunnen) w Cieszynie można czytać w trzech językach: polskim, łacińskim i niemieckim, następujący napis:

Roku 810 wiaropodobne
założenie miasta Cieszyna
przez trzech synów
Leszka III-go króla polskiego.
Trze bracia książęta,
Bolko, Leszko i Cieszko
zeszli się po długiej
wędrówce przy tem zródle
i ciesząc się zbudowali na
pamiątkę miasto, które
miano Cieszyn otrzymało.

Gdyby dzisiaj ci sami »trze bracia książęta» zeszli się przy źródle, w studnię zamienionem, nie mieliby się zaiste czego cieszyć. Przeciwnie ciężki smutek ogarnął by ich serca, wielki żal ścisnąłby za gardło, bo nie poznaliby miejsca, w którem ongi po długiej rozłące z radością się spotkali. Miasto wprawdzie dosyć duż ładne, o szerokich, ruchliwych ulicach, i pięknie nad rzeką Olzą położone, lecz jakżeby się Bolko, Leszko i Cieszko zdziwili, gdyby na polskiej ziemi ujrzeli niemieckie nazwy ulic, wszędzie niemieckie napisy i szyldy, gdyby na ulicach i w miejscach publicznych usłyszeli głośną i pewną siebie mowę niemiecką, której musieli nie lubieć, jako mowy odwiecznych wrogów słowiańszczyzny. Chcąc się czegośkolwiek bliższego o tej zmianie dowiedzieć, musieliby zaczepić pierwszego lepszego biedaka, posługacza albo przybyłego do miasta włościanina, bo oni tylko zrozumieliby ich pytania i byliby zdolni odpowiedzieć po polsku; panowie, zamożniejsi mieszczanie, wcaleby ich nie słuchali albo odpowiadaliby jedynie po niemiecku. I nie cieszyć ale smucićby się im przyszło. Istotnie Cieszyn, stolica wchodniej części Szląska austrjackiego, ma wejrzenie i pokost ściśle niemieckiego miasta, w którem biedny i zahukany żywioł polski jest zaledwie, jako malum necessarium tolerowany. Cała warstwa zamożniejsza, tak zwana inteligencja, wszyscy »surdutowcy«, to butni synowie Germanji, współrodacy »żelaznego kanclerza« z nad Sprei. Gmin, szary gmin, biedny, obdarty plebs, kopany i wyzyskiwany, to potomkowie Bolka, Leszka i Cieszka, którzy zeszli na sługi i bydło robocze obcych panów z Reichu.

Na górze zamkowej, będącej własnością arcyks. Albrechta, sterczy jeszcze ku niebu samotna wieża piastowska, jako wiarogodny świadek niczem niezbitego faktu, że cała ziemia, jaką z jej szczytu okiem objąć można, jest rdzennie polską, słowiańską ziemią. Sędziwe orły piastowskie spoglądają na cztery strony świata i głoszą z niestrudzoną wiekami wytrwałością, że czarne orły nie gnieździły się nigdy na tej wieży piastowskiej.

Biedne, osamotnione, opuszczone orły, kiedyż słońce na was życzliwszem spojrzy okiem? Mimo całej bystrości swego wzroku możecie ujrzeć zaledwie kilka polskich napisów, jak: »Czytelnia ludowa«, »Towarzystwo zaliczek i oszczędności«, »Hotel pod złotym wołem« i t. d. I ponure myśli obsiadają tłumnie umysł polskiego wędrowca. Jest u siebie, a mimowoli czuje się obcym gościem, na którego niemieccy gospodarze spoglądają z pogardliwym uśmiechem, z gryzącą ironją i szyderstwem.

Germanizacja Ks. Cieszyńskiego jest dziełem daleko już posuniętem i grozi bardzo smutnemi dla polskiego żywiołu następstwami. Pomijając na razie wszystkie czynniki historyczne, które bądź jak bądź wiele nam tłomaczą, wystarczy zastanowić się chwilę nad stanem obecnym, po prostu zatrważającym. Przejdźmy z Galicji

na ziemię szląską przez Białą-Bielsk, bo tędy idzie kolej żelazna. Nie radzę nikomu wybierać się w podróż po tych ziemiach polskich bez jakiej takiej znajomości języka niemieckiego, bo doprawdy nie daleko zajedzie. Już w Białej, leżącej w Galicji nad samą granicą szląska, spotyka się wędrowiec z czemś, co go w osłupienie wprawia. Nawet pan Brouczek Świętopełka Czecha nie doznał większego zdziwienia spadłszy na księżyc od Polaka, który bez uprzedzenia znajdzie się w murach Białej. Co u jasnego licha! — napisy ulic niemieckie, afisze i szyldy kupców niemieckie, na ulicy mowa niemiecka, toż samo w lokalach publicznych, gdzie możesz czytać wszystkie najbardziej nawet polakożercze pisma niemieckie, lecz ani jednego polskiego. Mimo woli przypuszczasz jakąś pomyłkę w kupieniu biletu kolejowego, albo w wyborze pociągu. A jednak nie prawda, wszystko zrobiłeś w porządku, jesteś rzeczywiście w Białej. Westchnąwszy ciężko, przekraczasz mały strumień Białkę, ciekący samą granicą i wchodzisz na odwieczną ziemię Piastów do Bielska. Bagatela! wpadłeś z deszczu pod rynnę — w Bielsku bowiem jeszcze gorzej niż w Białej. Polskość zepchnięta nie na drugie, ale na ostatnie miejsce, ignorowana, poniewierana, nienawidzona! Ta sama przyjemność czeka cię w Cieszynie, jak też we wszystkich innych miastach i miasteczkach Szląska cieszyńskiego, gdyż wszędzie zamożniejszą warstwę stanowią Niemcy, panoszący się jak na własnych śmieciach, a Polacy odgrywają rolę — kopciuszków. Cały przemysł i wielki handel w rękach niemieckich, większa własność ziemska także; z Polaków rekrutuje się maleńka cząstka inteligencji, duchowieństwo, nauczycielstwo ludowe. Lud z wyjątkiem kilku polonizujących się kolonji niemieckich pod Bielskiem od wieków rdzennie polski, nie używający mowy niemieckiej a nawet nie rozumiejący jej. (Dok. n.)

Ze wspomnień o Lenartowiczu.

Znany tłómacz „Iljady“, p. Stanisław Mleczko, przesłał redakcji „Kraju“ w odpisie list, otrzymany od swego przyjaciela (dra W. Wolskiego) z Fiesole pod Florencją, w którym mieszczą się ciekawe szczegóły o zmarłym poecie. Powtarzamy z tego listu niektóre ustępy. „Serję nielicznych wiadomości naszego ubogiego w wypadki życia, zaczynam wspomnieniem ś. p. Lenartowicza, który zmarł nagle przed dwoma dniami. Tak nam trudno zdecydować się do zawiązywania nowych stosunków, żeśmy przez kilka lat nie starali się zabrać z nim znajomości, i takby było pozostało, gdyby nieboszczyk, dowiedziawszy się o nas od znajomych, sam nie był nas odwiedził w ciągu przeszłego lata. Wywiązała się ztąd ścisła zażyłość i serdeczniešmy się pokochali. W lecie, w czasie największych upałów, mieszkał u nas przez krótki czas, a potem co tydzień do nas przyjeżdżał. Tej znajomości zawdzięczamy wiele przyjemnych chwil. Był to człowiek bardzo wykształcony i oczytany, umiejący i lubiący rozmawiać przyjemnie i rozumnie o najrozmaitszych przedmiotach. Nadzwyczajną sprawiał mi przyjemność odczytywaniem ustępów niewydanych swoich poezji. Nie znałem dotąd nikogo, coby tak doskonale czytać potrafił, a chociaż — a może właśnie dlatego — nie deklamował, lecz czytał bardzo naturalnie i poprostu, to prawdziwością wyrazu, właściwą intonacją, czasem gestem miarowym, umiał tak podnieść piękności swoich utworów, że słuchający był niejako zahypnotyzowany. Przekonałem się na sobie, jak wielką nieraz była różnica wrażenia, jakie na mnie wywarł jakiś jego utwór czytany w manuskrypcie, ze skalpelem zimnej krytyki, a ten sam utwór czytany przez niego. Był to artysta z prawdziwie boską iskrą w duszy, bodaj czy nie ostatni poeta z dobrych, dawnych czasów. Jako rzeźbiarz, był wprawdzie dyletantem, nie brał się do wielkich rzeczy, robił więcej dla zabawki, małe biusta i płaskorzeźby, ale i tu także błyska iskra genjuszu i znawcy przyznają, że gdyby się był oddał temu zawodowi, byłby w nim stanął bardzo wysoko. Ale, oprócz poety i artysty, kochałem i ceniłem w nim brata, który kochał namiętnie lud wiejski; człowieka cichego, skromnego, rządnego, zadowolonego z bardzo skromnego bytu, który od nikogo nic nie żądał i nie przyjął, zawsze gotowego do usług i poświęceń.“

Dość ogólne w kraju było mniemanie, że muza starego lirnika oddawna zamilkła; tymczasem tak nie było. Pisał do ostatnich dni życia i sporo się manuskryptów w jego tece uzbierało; nie wydał ich, bo — *incredibile dictu!* — nie znalazł dotąd wydawcy. Dopiero od pół roku, wszedłszy w bliższe stosunki z literatami lwowskimi i krakowskimi, zamyślał odbyć podróż do kraju i na serjo pomyśleć o wydaniu nowych poezji. Szczęśliw jestem, że mu w tem mogłem być nieco pomocnym, przepisując na maszynce na czysto, co było dość potrzebne, gdyż nieboszczyk pisał nieraz niewyraźnie i znakowanie zaniedbywał, a to mogło spowodować wiele konfuzji u składaczy i korektorów. (Z tego powodu np. w Ameryce, a częściowo i w Anglji, wydawcy nawet i od najgłośniejszych autorów nie przyjmują manuskryptów inaczej, jak kopjowanych na maszynce). Zbierze się tego na 3 tomy. Rzecz szczególna: w ostatnich latach nieboszczyk zmienił zupełnie rodzaj poezji swojej; zarzucił lirykę, a zabrał się do utworów dramatycznych. Napisał poemat dramatyczny, złożony z luźnych scen, na podstawie stosunków ze stron waszych, i dramat grecki, „Sędziowie ateńscy“ (śmierć Sokratesa), napisany częściowo wierszem zwykłym, częściowo heksametrem, a wreszcie heksametrem rymowanym. A *propos* heksametru twierdził, że, jego zdaniem, polski język,

z powodu jednostajnego akcentu na przedostatniej zgłosce i małej obfitości słów jednozgłoskowych, nie przypuszcza zupełnie poprawnego heksametru, i rzeczywiście pozwalał sobie wiele licencji w budowie daktyla. Ja zaś, przyznając zachodzące trudności, twierdziłem, że te trudności nie są jednak nieprzezwyciężone, i opowiadałem mu o pańskiej „Iljadzie“. Bardzo był jej ciekaw, i dawno się wybierałem pisać do pana o przysłanie jednej lub kilku pieśni. Panu zapewne byłoby przyjemnie, gdyby mistrz taki był pańską pracę ocenił..

W jakuckiej jurcie.

Było południe. Na szarem, rzekłbyś mdłem, tle jakuckiego nieba słońce, niby jasna plama, chmurno, ponuro spoglądało na zasłaną śnieżnym całunem ziemię, na tu i owdzie błądzące krowy i konie, markotno, melancholijnie wygrzebujące z pod śniegu trawę i z tęsknotą spoglądające w stronę „chotonu,*) na psy, skomlące od zimna i na biednych, znędzniałych od stóp do głów, odzianych w krowią skórę, Jakutów. Słońce... Któż z nas, wymawiając ten wyraz, nie kojarzy z nim pojęcia o świetle i cieple? Tu jednak przez całe pół roku przestaje być ono symbolem tych dwóch najważniejszych sprężyn życia... Nie grzeje, nie świeci niemal... Rzekłbyś, że drwi sobie z ludzkich łez, z ludzkiej niedoli. Niekiedy zwykła ironja już mu nie wystarcza, przechodzi w sarkazm i w wielokrotnem odbiciu przygląda się ludziom. Kilka słońc... a mróz przenika do szpiku kości, a mgła taka, że na kilka kroków nie odróżnisz psa od człowieka.

Ot i teraz. Coś zarysowało się w dali — ciemny jakiś punkcik, nic więcej. I gdyby nie odgłos dzwonków, nie zgrzyt sanek, od dawna już dolatujący do ucha, za niebyś się nie domyślił, że nie zwierzę jakieś, a człowiek do ciebie się zbliża.

Niezwykłą rzeczą są te dzwonki w tak oddalonym od całego myślącego świata zakątku, jak ten, obywatelstwem w którym nagrodziły mię nieba. Wiadomo, że nie tylko w jakuckiej ziemi, ale i w ogóle w Rosji z dzwonkami, przyczepionymi do dyszla lub „dugi“, jadą przedstawiciele władzy. Dzięki jakuckiemu „kapsie“**) wiadomem mi było, że przybyć ma lekarz. Co znaczy po wielu miesiącach pobytu śród nierozumiejących cię Jakutów spotkanie się z człowiekiem myślącym a wykształconym — pojąć może tylko ten, co doznał tego na sobie. Nocy tej usnąć nie mogłem. Najmniejszy szelest przypisywałem wyczekiwanemu przybyciu upragnionego gościa.

Teraz wzruszenie tamowało mi oddech, ruszyć mi się z miejsca nie dawało. Nagle w głowie błysnęła myśl przykra, męcząca: a nuż jadącemu lekarzowi obecność moja obojętną będzie? Jeszcze chwila i byłbym pod wpływem tej myśli do jurty powrócił, ale właśnie wtedy sanie przed drzwiami mej chałupy stanęły.

— *Wy russkij?* — zapytał mnie lekarz.

— *Niet, Poliak!*

Z pośpiesznych ruchów doktora, ze wzruszenia na twarzy jego, od razu poznałem, że wiadomość ta nie była mu obojętną, a gdy zbliżył się ku mnie i gdym spojrzał mu w twarz, to z długiego, sumiastego, *par excellence,* polskiego wąsa, z oczu, z całej postawy poznałem w nim rodaka.

— A niechże pana! Anim marzył, że tu wśród tych, z przeproszeniem powiedziawszy, małp, znajdę rodaka!

Mówiąc to, podał mi rękę i za mną do jurty podążył, gdzie już wesoło potrzaskiwały drwa na kominku.

— Ależ tu u pana niczego, panie dobrodzieju! — rzekł, rozglądając się po jurcie, a zobaczywszy nad łóżkiem portret Kościuszki, rubasznie dodał:

— Nie spodziewał się chyba nasz bohater, że po tylu latach gdzieś, na jakuckiej ziemi, w jurcie, podobizna jego będzie przedmiotem ciekawych spojrzeń Jakutów!... Ale gadu... gadu... a ja tymczasem panie dobrodzieju, śród tej dziczy o najemelentarniejszych zasadach przyzwoitości zapomniałem i dotąd nie przedstawiłem się panu — Stanisław Garszyński, do usług pana dobrodzieja!

Gdym w zamian swoje nazwisko wymienił, rozbierając się przed kominkiem i ostrożnie sopelki lodu z brody i wąsów wyskubując, dopytywał o miejsce urodzenia, o krewnych i bliskich sąsiadów.

Odpowiadałem z roztargnieniem, bo całą moją uwagę skupiła na sobie olbrzymia szrama na jego czole i prawym policzku, która dopiero po zdjęciu przezeń szalu się uwydatniła. Ciekawość moja rosła z każdą chwilą, nic nie było w stanie jej zwalczyć, to też, nie zważając na niedelikatność, nie mogłem się powstrzymać od zapytania:

— A to uczęstował też ktoś pana niemiłosiernie!

Uśmiechnął się dobrotliwie, ręką po krawędzi szramy przesuwając.

— Stare to już rzeczy, panie dobrodzieju! Z jakie trzydzieści lat temu...

— W potyczce jakiej pewnie?

— A gdzieżby indziej? Jak ci mnie psia jucha płatnął, tom myślał, że mi gały, panie dobrodzieju, na wierzch wylezą... Alem ci go też rąbnął w odpowiedzi! Bo i hunewot, panie dobrodzieju! Ja, sa-

*) „Choton“ — obora, zazwyczaj mieszcząca się w połowie jurty jakuckiej, której drugą połowę zajmuje rodzina właściciela bydła.

**) Jakuci przy spotkaniu każdemu rzucają zapytanie „kapsie!“ — gadaj, opowiadaj — i chociaż według jakuckiej etykiety następuje odpowiedź „soch“ — nie, nic i na dalsze pytania: kogoś widział, coś słyszał, również następuje odpowiedź przecząca, to jednak, gdy już etykiecie zadosyć uczyniono, następuje jak najszczegółowsza opowieść wszystkiego, na co obaj rozmawiający w ciągu podróży i poprzedzających ją dni uwagę zwrócili. Pod względem dokładności jakuckie „kapsie“ wiele pozostawia w tyle żydowską pocztę pantoflową.

nitar, doktor, z krzyżem czerwonym na ramieniu, a on, panie doprodzieju, tnie jak swego... Gdyby to tylko rana, bierz go licho, wylizałbym się jakoś, ale przez nią aż tu się dostałem.

— To chyba naturalne...

— Naturalne, to prawda, ale nie zupełnie konieczne... Sam z resztą zobaczysz... Z raną we łbie nie było co, panie dobrodzieju, robić w polu. Skoczyłem na konia i hajda do domu... Kobiety w krzyk... Chciałem był, jako lekarz wziąść się do przemycia i zabandażowania rany... Ale gdzie tam! Myśleć mi nawet o tem nie dały! Pozbierały z całego domu pajęczyny i nuż kurować. Widzę, że kiepsko, ale jakże tu z babami wojować.. Uległem i rana nadspodziewanie goić się zaczęła. Przez cały ten czas myśl o przymusowej wędrówce do „ziemi obiecanej“ nawet mi do głowy nie przychodziła. Żadnych podejrzeń, żadnych poszlak przeciwko mnie nie miano. Na nieszczęście w kilka dni potem djabli przynieśli nieproszonych gości. Szperali, szukali..

- A to kto taki? — pytają.

— Syn — odpowiada matka — chory..

— Hm, syn! A pokaż-no się pan...

Nie było co robić... Wysuwam z pod kołdry głowę i dalszych wyglądam wypadków.

— A gdzieżeś to pan tak głowę pokaleczył — pytają, zdejmując mi z głowy przepaskę.

Zmieszałem się nieco.

— W pojedynku — wybełkotałem, czując, że mi nie wierzą.

— A z kim, jeśli wolno wiedzieć, bił się pan tak zapamiętale?

— To tajemnica!...

— Hm!... Dziwne... Lecz co dziwniejsza to to, że pan, szlachcic, doktor, a taką dziwną broń do pojedynku wybrał...

— Jakto dziwną?

— Rana od bagnetu. Ślepy rozpozna to od razu. Lepiejbyś pan prawtę wyznał, żeś ranny w ostatniej potyczce, niż kłamać tak nieumiejętnie.

Cóż było odpowiadać? Milczałem. Zabrano mię i oto już trzydzieści lat mija, jak wygnano mię z kraju.

— Czyż panu doktorowi dotąd do kraju wrócić nie wolno? Wszak jeżeli się nie mylę...

— Nie mylisz się pan! — przerwał mi niecierpliwie. — Powrót jest mi dozwolonym; dobrowolnie tu zostałem i zostanę!

Wypowiedział to tak cierpko i takim tonem, że dalsze pytania z mej strony stały się niemożliwemi; czasu też na nie było. Trzeba było się zakrzątać koło samowara i jakiego takiego obiadu. Przeprosiłem tedy gościa, że muszę go na chwilę pozostawić samego i żywo wziąłem się do roboty. Przybysz, naturalnie, nie wychodził mi z głowy; przypatrywałem mu się tedy uważnie, ale z pokrytej zmarszczkami twarzy, z siwego włosa na głowie, nic wyczytać nie mogłem, chyba to, że czas spędzony na wygnaniu nie obfitował dla pana doktora w słodycze.

Pan Stanisław tymczasem wielkimi krokami po izbie chodził, siwy wąs niemiłosiernie gryzł i targał, rzucając namnie z podełba badawcze spojrzenie. Gdy się jednak raz i drugi spojrzenia nasze spotkały, pod pretekstem przejrzenia książek na półce w głąb jurty się zwrócił i zapytawszy o pozwolenie, przeglądać je zaczął.

Po kilku minutach postawiwszy jadło na stole przerwałem ten przegląd. Trzymał w tej właśnie chwili „Pana Tadeusza“.

— Jakież to piękne, a jakie prawdziwe, zwrócił się do mnie i odkładając książkę zadeklamował:

Litwo, Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił...

Zasępił się nieco. Twarz z natury wesoła, przyjęła wyraz niewypowiedzianego smutku. Jasnem było, że tęsknił, tęsknił srodze, jeżeli może nie do ludzi, to „do tych pól malowanych zbożem rozmaitem, wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem“, a może... do grobów.

Zdziwiła mię ta sprzeczność. Z jednej strony — tęsknota, z drugiej — dobrowolny pobyt na wygnaniu... Zastanawiać się nad tem długo nie mogłem jednak: obowiązki gospodarza powołały mię do stołu.

— Dziwna rzecz! — mówił jedząc — żaden ze spółczesnych poetów nie umie tak przemówić do duszy, tak za serce ująć.. Ilekroć wpada mi coś z utworów Mickiewicza, wzruszenia opanować nie mogę... Miał — bo serce i patrzał w nie!.. Rozmowa podczas całego obiadu dokoła literatury się toczyła. Nawet najnowsza nie była mu obcą. Z przejęciem i z lubością mówił o Szymańskim.

— To ci pisarz! W najgłębsze tajniki duszy wniknie, najskrytsze drgnienia podsłucha i trzeba mu, panie dobrodzieju, oddać sprawiedliwość — zrozumie. Szkoda tylko, że trochę romantyk... tak jak i my wszyscy... kiedyś... dodał szeptem prawie. A teraźniejsze pokolenie, panie dobrodzieju — ciągnął dalej ironicznie twarz wykrzywiając — trzeźwe, o! bardzo trzeźwe!.. Mrzonek, romantycznych kwileń nie lubi... Nasi poeci do boju wzywali, na ideały wskazywali, a wasi... przepraszam — nie wasi, bo i pan, jak się zdaje, nie dalekoś od nas odbiegł, skoro się tu znalazł, a nowi, panie dobrodzieju... „do pługa, do kielni“ powołują... A są, pono, i tacy, co wierszem do gromadzenia grosza, kapitałów wzywają!..

Zaśmiał się gorzko; z po za śmiechu tego łzy przezierały. Dosyć było jednego nań spojrzenia, by poznać, że wezbrane ucznie lada chwilę zerwie tamę, jaką mu wola postawiła i w gorącym a namiętnym słów potoku na zewnątrz się wyleje.

Ale zato sądzić lubi... o! Myśmy do każdego ze słowem miłości, przebaczenia się zwracali, „dla błędnych braci otwieraliśmy serca“, pamiętaliśmy, że wszystko poznać — to wszystko przebaczyć... A oni?.. Cha! Cha! Cha!.. Nie znając człowieka, nie rozumiejąc ani warunków, ani położenia, śmiało,

bez wahania odstępstwo nam w twarz rzucają za to, że pozostaliśmy tu, żeśmy do kraju nie wrócili... A czy wiedzą te sędzie, że ból pierś nam rozsadza, że ogromu tego bólu ich maluczkie serca nawet pomieścić nie będą w stanie?.. Ilużto, na wzór „Przewoźnika“ owego może zwrócić się do nich z rozpaczliwym krzykiem: „Oddajcie mi, zbrodniarze, Matkę moją!

A reszta?.. A tacy, jak ja, których życie wprzęgło w swe niemiłosierne jarzmo?.. A nawet i ci, co teraz na najniższym szczeblu upadku się znajdują, co ludzkiemi duszami i ludzkiemi ciałami frymarczą, czyż i oni nawet nie mają moralnie prawa wystąpić z zarzutem: „Cóżescie zrobili, by nas choć na chwilę powstrzymać od upadku? Gdyśmy z wyżyn uniesień i zapału w czarną głąb nędzy sybirskiej spadli, któż z was z ręką pomocy pośpieszył?.. Wyście wtedy o własnej myśleli skórze.. Baliście się nazwiska nasze wymienić, drżeliście na sam dźwięk ich, cóż wam tedy daje prawo jakieś wymagania nam stawiać?.. Dawnośc e już nas odepchnęli, czemuż się teraz dziwicie, że nie wracamy?.. Mają prawo to powiedzieć, mają, mają!..

Oczy mu się dziwnym blaskiem świeciły, twarz pałała a z całej postawy biła wielka siła moralna, przekonanie, że wszystko co mówi — jest jak najzupełniejszą prawdą. — Długo się nie mógł uspokoić; biegał jak szalony po jurcie, oddychał ciężko, sapał i jak mi się zdawało, drżał na całem ciele.

Nie śmiałem się odezwać, bo i cóż mu powiedzieć mogłem? Że się myli? Że w kraju ich wyglądają z upragnieniem? Że cele i dążenia te same zostały? Że czas ich nie zmienił? Że nie zapomniano o nich?.. Milczałem. A on tymczasem powoli przychodzić do siebie zaczął, a po upływie pewnego czasu uspokoił się zupełnie i dawna rubaszność mu wróciła.

— Wybacz pan, panie dobrodzieju! Uniosłem się nieco... ale, dalipan, nie mogę chłodno jakoś mówić o tem! Nie zabliźnionej rany dotykać się nie godzi, a nasze rany rany wygnańców z moich czasów, dotąd się krwawią!.. Gdybyś pan wiedział, cośmy tu przeżyli — nie dziwiłbyś się pan!.. Drobne to wszystko rzeczy, gdy się teraz o nich wspomina, ale onego czasu jakżeż okropnie bolały!..

— Panie doktorze — ośmieliłem się nareszcie — dotąd nie śmiałem prosić pana o opowiedzenie mi swych przygód, bałem się być natrętnym, niedelikatnym, ale jeżeli to panu wielkiej przykrości nie sprawi, zbyt przykrych osobistych wspomnień nie wskrzesi — opowiedz je pan. Może i panu to ulży, a mnie da, może, choć słabe pojęcie o losie, jaki i mnie w przyszłości spotkać może...

Przez długą chwilę nie dawał mi odpowiedzi, wzrok tylko wlepił we mnie, egzaminował; badał i egzamin ten wypadł oczywiście korzystnie, bo zgoda nastąpiła.

— Zaczekaj pan tylko chwilkę! Zamierzałem przenocować o dwadzieścia wiorst ztąd... Trzeba powiedzieć woźnicy, że tu nocować będę... Wyszedł. Z poza drzwi dolatywała mię rozmowa prowadzona w łamanym jakuckim języku.

Po chwili wrócił, nerwowo skręcił papierosa, zapalił, po jurcie kilka razy się przeszedł, podumał i opowiadanie rozpoczął. (C. d. n.)

Żydzi o kwestji żydowskiej.

(Ciąg dalszy.)

X.

W inną sferę myśli i dążności wprowadza nas następna praca, ostatnia w szeregu tych, których omówienie wytknęliśmy jako cel naszych uwag. Mam tu na myśli rosyjską broszurkę p. E. Masina pt. „Jewrej k jewrejam“, wydaną w Londynie nakładem funduszu swobodnej prasy rosyjskiej. Autor tej broszurki należy do grupy **żydów narodowców**, grupy, której poglądów dotychczas nie analizowaliśmy, potrącając o nie jedynie w rozbiorze broszury p. Feldmana.

Właściwie niesłuszna jest mówić o jednej grupie narodowców żydowskich, tj. ludzi uważających żydów za naród odrębny i stawiających jako cel swych usiłowań nie asymilację, nie zlanie się żydów z innymi narodami, pośród których żyją obecnie, lecz pielęgnowanie ich odrębnych cech narodowych. Rzecz oczywista, że stosownie do sposobu pojmowania narodowości i życia narodowego do tego kierunku przyznawać się mogą ludzie rozmaitych, nieraz wprost sprzecznych ze sobą poglądów społecznych i politycznych.

Zanim przystąpimy do charakterystyki poglądów samego p. Masina, wspomnimy bodaj po krótce o innych, więcej u nas znanych grupach narodowców żydowskich. W Austrji i szczególnie w Galicji rozwinął się kierunek tzw. Palestyńczyków czyli Syonistów, którego pierwszym zawiązkiem było towarzystwo Kadimah we Wiedniu, a który obecnie w Galicji bodaj pozornie wziął przewagę nad kierunkiem asymilatorskim i posiada swój organ *Przyszłość*. Kierunek ten, stawiający sobie za cel odbudowanie państwa żydowskiego w Palestynie, od pierwszego swego wyłonienia się przechodził rozmaite fazy rozwoju. Rozpoczęty przez ludzi postępowych, obecnie w swym organie polskim stanął na pochyłej płaszczyźnie zaciekłej nienawiści do wszystkiego co aryjskie, co tchnie zachodem i cywilizacją europejską. Zdaje się, jakoby bezowocność usiłowania postępowych inicjatorów tego ruchu popchnęła ich następców na tory przeciwne: by pozyskać ciemne i fanatyczne masy żydowskie, schlebiają jej fanatyzmowi, ciemnotę stawią jako główną zasadę, potępiają cywilizację dla tego jedynie, że ona nie jest wytworem żydowskim.

Dr. Caro w polskim epilogu do swej broszury poświęca temu kierunkowi słowa sympatycznego powitania, nazywa Syonistów utopistami, którzy wkrótce wytrzeźwią się ze swych mrzonek,

lecz i teraz już przemawiając do żydów po polsku, stanowią awangardę asymilacji. Zdaje mi się, że taki pogląd jest zbyt optymistyczny. Czy rzeczywiście pracuje nprz. dla polskości ten, kto po polsku głosi nienawiść i wzgardę względem tej polskości? Mojem zdaniem, kierunek syonistyczny jest najniebezpieczniejszym ze wszystkich kierunków, jakie w ostatnich czasach widzieć się dają w łonie żydowstwa. Podwójnie niebezpiecznym jest on u nas w Galicji właśnie dla swej zaciekłości antyciwilizacyjnej, dla swego talmudycznego wstecznictwa. Elementy szczerze postępowe są u nas wogóle tak nieliczne i słabe, zaś ciemnota i fanatyzm wśród mas żydowskich są i bez tego tak silne, że potęgowanie ich, osłanianie płaszczem specjalnie żydowskiego patryjotyzmu może tylko najzgubniejsze wywrzeć skutki na rozwój społeczeństwa naszego i na stan samej kwestji żydowskiej u nas. Powiem wyraźniej: jeżeli kierunek ten wogóle szkodliwym jest dla kraju — nie dla tego, że jest narodowym żydowskim, lecz dla tego że jest wstecznym i antycywilizacyjnym, to dla samychże żydów galicyjskich może mieć skutki wprost fatalne. Raz nie zapominajmy, jakie muszą być praktyczne wyniki agitacji syonistycznej. Odwracając masy żydowskie od zdobyczy cywilizacji od postępu, ku ciemnym labiryntom talmudu, syoniści spotęgują właśnie te przymioty żydów, które dziś czynią ich głównie niemiłymi i szkodliwymi społeczeństwom europejskim, a więc zamiast rozwiązania kwestji żydowskiej doprowadzą tylko do jej zaostrzenia, przyspieszą może nieprzewidzialne katastrofy. Że ich plany o państwie żydowskiem w Palestynie są dziecinnemi mrzonkami, tego nawet dowodzić nie potrzeba. A w takim razie czyż syonizm nie jest grą bardzo niebezpieczną, a już wcale nie niewinną utopją?

Potępiając stanowczo syonizm, nie myślę przez to wcale potępiać narodowego ruchu żydowskiego w zasadzie. Przeciwnie, już wyżej, analizując poglądy dra Goldmana wyraziłem zdanie, że rozwój żydów jako odrębnej narodowości wcale by nie musiał przeszkadzać uobywatelnieniu żydów. Że rozwój narodowy żydów, zwłaszcza w Galicji i w krajach należących do b. Rzeczypospolitej polskiej, z powodu ich liczebnej potęgi jest bardzo możliwy, przeciwnie, że wszelki inny rozwój, a więc asymilacja całych mas miljonowych jest rzeczą bardzo problematyczną, to, sądzę, zobaczy czytelnik z dalszego ciągu tych uwag. (C. d. n.)

Iwan Franko.

Oryginał z Piskorzewa

powiastka Junoszy.

(Ciąg dalszy.)

W ogóle postępowanie jego jest dziwne... i zagadkowe. Niby od ludzi nie stroni, ale też ich nie szuka; oddaje ukłony, zaczepiony na ulicy lub na spacerze rozmawia, jest dla każdego uprzejmy, ale ani zaproszeń nie przyjmuje, ani do siebie nie zaprasza nikogo... Zawsze smutny, poważny, nie uśmiecha się nigdy, chyba do dzieci, które bardzo lubi i często drobnemi upominkami obdarza.

Pewnego razu pani regentowa piskorzewska spytała pana Romana, pełnego inteligencji sekretarza magistratu, żeby wytłómaczył jej, co to jest melancholja?

Na razie młodzieniec nic nie odrzekł, zrobił tylko minę tajemniczą i przyrzekł, że za pierwszą bytnością w mieście gubernialnem dowie się jak najdokładniej.

— Tymczasem mogę panią dobrodziejkę zapewnić, dodał, że nie jest to nic nadzwyczajnego, bardzo niewinny rodzaj literatury w znaczeniu prostem, a w przenośnem jak kto chce, m żna tłómaczyć tak, a można i tak, zależnie od okoliczności.

Pani regentowa była z temperamentem i nie lubiła czekać... to też wyszedłszy w towarzystwie na spacer za miasto i spotkawszy doktora, zaczepiła go zaraz.

— Na miłość boską, doktorze, wytłómacz mi co to jest melancholja?!

Doktór, poczciwy starowina, zaskoczony znienacka, włożył na nos okulary, otarł czoło czerwoną chustką w kraty i rzekł:

— Chce pani wiedzieć co to jest melancholja? czy dobrze słyszałem?

— Tak.

— To źle!.. Czyżby szanowny regent?

— Ależ ja nie pytam doktora o safandulstwo, tylko o melancholję, pytam dla własnej ciekawości, chcę wiedzieć.

— To źle, pani dobrodziejko, to źle!

— Więc mi pan nie powie?

— Jeżeli pani chce koniecznie...

— Proszę, bardzo proszę...

— Melancholja, pani dobrodziejko, jest to choroba.

— Byłam tego prawie pewna...

— Jest to rodzaj psychozy...

— Mów pan po ludzku; psy, kozy... psy... kozy, nie rozumiem tego...

— Zaraz, pani dobrodziejko, powoli.. Melancholja jest to choroba umysłowa, niedobra choroba; jest to, iż tak powiem, zboczenie w sferze czucia. Osobnik dotknięty tą chorobą stwarza sobie i wymyśla różne cierpienia urojone; jeżeli jest melancholja bierna, cierpi z rezygnacją i w milczeniu, stroni od ludzi, nie mówi do nikogo, — jeżeli czynna, to szaleje, rzuca się i w takim razie ubiera go się w kaftan... Widzi pani dobrodziejka — dodał — zażywając potężny niuch tabaki — gatunków bzika jest znacznie więcej, aniżeli nazw kapeluszy damskich... jest paranoja, są tysiące illuzji, manji, monomanji, delirjów..

— Ależ doktorze, koniec końcem, melancholja jest rodzajem bzika?

— Bezwątpienia, pani dobrodziejko.

— Objawia się smutkiem i małomównością?

— Jeżeli bierna.

— No, to już wiem co mi potrzeba... dziękuję panu serdecznie za tę informacją.

— Pozwoli pani zbadać pulsik?..

— Dajże pan pokój, cóż znowu!? Czy wyglądam źle..

— Nie, ale ta kwestja melancholji...

— Cóż?

— Wogóle o takich rzeczach myśleć jest źle.

— Eh! nudziarz z pana!..

Od tego wieczoru inteligencja piskorzewska znowuż zaczęła spoglądać na pana Dezyderego podejrzliwie i nie bez pewnej obawy... Zupełnie uzasadnionych powodów nie było... ale bądź co bądź... pewne objawy dawały do myślenia.

. . . .

Inteligentne panny miasta Piskorzewa uznały jednozgodnie, że imie Dezydery samo przez się jest śmieszne i dziwaczne, niby „Hermenegilda" żeńskiego rodzaju, a człowiek, który je nosi... Właściwie cóż ma robić? Skoro mu takie nadano więc je ma, chociaż mógłby na biletach wizytowych mienić się Arturem, Adolfem, lub Zenonem... Nie czyni tego wskutek melancholji, tem gorzej dla niego, bo trudno sobie wyobrazić, żeby się znalazła panienka, któraby zdecydowała się zostać panią De-zy-de-ro-wą! Żeby nie to, kto wie! Dezydery na starca nie wygląda, powabny wprawdzie nie jest, ale prezentuje się bardzo dobrze, jego dom i ogród jest nawet pełen wdzięku, a majątek, jak mówią, zachwycający. Niewiadomo zkąd rozeszła się pogłoska, że pan Dezydery ma kapitał w banku. Czemuż sam tylko korzysta z procentu, czemuż nie poszuka sobie dozgonnej towarzyszki życia, lecz siedzi w swych pięknych pokojach, lub w ogrodzie, posępny, samotny, milczący...

Czemu?

Regentowa powiada, że to melancholja w najgorszym gatunku, zaś panie, mające córki na wydaniu twierdzą, że nie melancholja, ale impertynencja poprostu i egoizm, rozwinięty do najwyższego stopnia.

Pan sekretarz jest zdania, że można sądzić o tem tak albo tak, stosownie do okoliczności.

Bądź co bądź takie zamykanie się w sobie, zamiłowanie samotności objawem normalnym nie jest... Niechęć do gry w karty! Nietylko w Piskorzewie, ale na całym cywilizowanym świecie ludzie w karty grają. I to nie byle jacy ludzie, mężowie poważni, rozumni, zasłużeni... Któż bo nie lubi zasiąść wieczorem do zielonego stolika i zatrudnić umysł kombinacjami gry? Cały świat i cały inteligentny Piskorzew gra, — dlaczego Dezydery nie chce?

Czy mu żal pieniędzy, który mógłby przegrać? Nie, skąpy on nie jest... czy ludźmi pogardza? I to nie, dla każdego jest uprzedzająco grzeczny. Czy może czasu mu brak? Także nie — bo kto może przesiadywać po całych dniach nad książkami, mógłby poświęcić parę godzin na grę... przyczyny trzeba szukać jedynie w chorobliwym stanie umysłu. Bezwątpienia... To człowiok apatyczny, którego nie obchodzi nic... Nie pyta nigdy co słychać, o kim mówią dobrze lub źle, sam nie wyraża o nikim swego zdania i wogóle nie zajmuje się tem, co złośliwie zowią plotkami, a co w gruncie rzeczy jest, tak pożądaną w interesach moralności, kontrolą ogółu nad postępowaniem jednostek.

Regentowa ma słuszność... panu Dezyderemu czegoś brakuje...

. . . .

Ludzie, którzy są w przekonaniu, że mają władze umysłowe w zupełnym porządku, a zdaje się, że to przekonanie mają bez wyjątku wszyscy, — przy spotkaniu się z człowiekiem podejrzewanym o brak piątej klepki... doznają pewnego zaniepokojenia i obawy. Któż może przewidzieć co powie, albo co uczyni warjat, w jakim kierunku popchnie go chory umysł... Chociaż jest niby spokojny, choć ludzi nie zaczepia, ale zawsze... Beczka prochu jest także bardzo spokojna, dopóki jej nie zaczepi drobna, malutka iskierka... to też pan burmistrz, powracający samotnie z przechadzki zamiejskiej, wcale się nie ucieszył ujrzawszy za miastem pana Dezyderego. Cóż jednak miał robić; ukłonił się i przyśpieszył kroku, jak gdyby powoływała go jakaś nadzwyczajna czynność. Dezydery jednak wbrew zwyczajowi zaczepił gospodarza miasta.

— Panie prezydencie — rzekł — co myślicie zrobić z tym chłopakiem, którego ujęto dziś na kradzieży u Mośka?

— Tymczasem siedzi w kozie.

— A dalej?

— Odeślę go do sędziego, a sędzia wpakuje go gdzie należy. Prosta rzecz jak drut: zegarek powinien siedzić w kieszeni od kamizelki, a złodziej w kryminale.

— Taki młody chłopak, prawie dzieciak!..

— Któż mu kazał kraść?!

— W towarzystwie kryminalistów zepsuje się do reszty i zostanie skończonym łotrem... Szkoda go, nieprawdaż panie?..

— Może i szkoda, ale czemu kradł?..

— Niestety, wszyscy ci mali złodzieje mają jedną matkę, a tą jest ciemnota...

Burmistrz nic nie odpowiedział, spojrzał tylko na pana Dezyderego z pod oka i pomyślał sobie:

— Bredzisz dobrodzieju... jedną matkę! Gdzieżby jedna matka mogła mieć tylu synów, ilu jest złodziei na świecie!? Złodziej, któregom dziś zamknął wcale nie ma matki, tylko ojca nicponia i pijaka, jakiego świat nie widział...

Po chwili pan Dezydery odezwał się znowu.

— Jednak to są objawy smutne... trzebaby coś radzić, jakie jest pańskie zdanie...

— Jakież może być zdanie?! Protokół do sądu. Co ja więcej mogę.

— Wie pan co, panie prezydencie, ponieważ tu osiedliłem się, tu mieszkam i tu zapewne życie skończę, przeto chciałbym miastu zostawić pamiątkę...

Burmistrz zbladł.

— Pamiątkę — rzekł — cóż znowu? jakąż pamiątkę?

— Niedługo się pan dowiesz, — odrzekł Dezydery z tajemniczym uśmiechem i pożegnawszy burmistrza poszedł w swoją stronę.

Wyraźnie pogróżka... Jaką pamiątkę może dać miastu człowiek, któremu braknie piątej klepki? Chyba podpali na cztery rogi Piskorzew i puści go z dymem.

Nieszczęście go tu przyniosło; nie mógł sobie wynaleźć domu gdzieindziej, tylko w Piskorzewie! koniecznie w Piskorzewie!

Zanim udał się na spoczynek, prezydent zawołał swoich pachołków, kazał im nasmarować koła u sikawek i beczek. oraz zapowiedział, że w nocy osobiście kontrolować będzie, czy stróże nocni są na stanowiskach... Dziwną im się wydała ta energja niezwykła, ale spełnili co im rozkazano. W nocy rozlegał się trzask grzechotek, świadczący, że stróż czuwa, a prezydent usnął dopiero nad ranem i miał sen niespokojny, gdyż sądził, że lada chwila dzwon alarmowy go zbudzi.

Rano, zaspane listopadowe słońce zajaśniało nad Piskorzewem, który był taki sam jak wczoraj, cały, nienaruszony, brudny, pełen śmieci i błota, jak zwykle...

Warjat nie spełnił pogróżki, ale któż wie, co jutro przyniesie?

. . . .

Nie przyniosło nic ani jutro, ani dni następne. Życie płynęło zwykłym trybem, tylko pan Dezydery zaczął się ruszać...

Konferował o czemś z faktorem, wyjeżdżał kilka razy i był niezwykle ożywiony. Widocznie jakaś myśl bardzo go zajmowała.

Co rano przychodził do burmistrza żydek jeden, Mordka Kiełbik, obywatel o nieokreślonem ściśle stanowisku, ale bardzo czynny, ruchliwy i wiedzący o wszystkiem, co się w mieście dzieje. Ponieważ Piskorzew nie posiadał własnej gazety, Mordka pełnił funkcję dziennika i informował chętnie o wszystkiem, począwszy od polityki, aż do cen zboża...

Pewnego dnia Mordka przyszedł do burmistrza wcześniej niż zwykle; właśnie gospodarz miasta Piskorzewa, w charakterze zupełnie prywatnym, w pantoflach i watowanym szlafroku, zasiadał do herbaty, gdy mu oznajmiono przybycie wszystkowiedza. Mordka z tajemniczą miną wsunął się do pokoju.

— Cóż tak wcześnie dziś, spytał burmistrz, czy stało się co ważnego?

— Proszę pana prezydenta, trochę się już stało, trochę się staje, a co się ma stać, to wcale nie jest trochę, tylko bardzo dużo.

— No, no — gadaj-że, zabili kogo, czy okradli?

— Zabić, Bogu dziękować nie zabili, ale to co zrobili niеładne jest... Ktoby się spodziewał na takiego cichego, spokojnego, porządnego pana... pfe?

— O kim mówisz, u licha!

— No, o tym panu co ma dom po sędzinie.

— O Dezyderym?! cóż on zrobił?

— Niech się pan prezydent spyta czego on nie zrobił? Wiadomo panu, że Michał Baranek, chciał sprzedać plac na Wjazdowej ulicy.

— No, wiem.

— To śliczny plac, on jest stworzony na to, żeby na nim postawić szynk i zajazd, to też Symcha Grünbaum targował ten plac i nie chciał go z ręki wypuścić.

— I kupił?

— Niechno pan czeka. On chciał kupić, on był pewny że kupi, on wiedział, że z naszych nikt mu przeszkody nie zrobi, a katolikowi taki plac na nic. Byłby już może i kupił, ale Baranek niedawno sprzedał krowę i przez to zrobił się okropnie hardy. Więc Symcha miał czekać, aż on tę krowę wypije i aż mu się znowu zechce pić, to wtedy spuści z ceny i za byle co sprzeda. Symcha czekał, pewny swojego. Tymczasem, niechno pan prezydent słucha, wczoraj ten pan, jak się nazywa?

— Dezydery?

— No, ten pan Dezydery, posłał po Baranka, dał mu więcej niż Symcha chciał dać i plac kupił. Zaraz zrobili kontrakt u regenta. To jest wielka krzywda, panie prezydencie, Symcha płakał, włosy sobie z brody wyrywał, chciał dać sto rubli odstępnego, ale tamten nie przystał... powiedział, że o tym placu już dawno myśli i że się bez niego nie obejdzie?

— Na co jemu ten plac?

— Powiada, że mu potrzebny, że będzie dom budował i wie pan co się pokazało?

— No?

— Pokazało się, że już drzewo kupione, cegła kupiona, wszystko co potrzeba. Zaraz z wiosny zaczną budować. Słyszałem, że ma być jakiś osobliwy dom, całkiem zagraniczną modą...

— Co jemu po tem?

— Albo ja wiem, — a panie prezydencie co jego obchodzi nasz warjat? nasz żydowski warjat — i do niego także musiał się wtrącić!

— Wasz warjat?

— No tak, głupi Berek. To jest cała historja!.. Wczoraj ten pan Dezydery szedł przez miasto i spotkał Berka na ulicy. Co prawda teraz jest trochę chłodno — i to też prawda, że Berek nie ma bardzo pięknej garderoby. Więcej w niej dziur anіżeli sukna. Ten pan, zamiast pójść spokojnie swoją drogą, to udał się prosto do rabina. Tam byli najbogatsi obywatele i najporządniejsi szynkarze, kahalni, cała starszyzna! Oni się bardzo zdziwili, oni pytali — czego pan chce? On też powiedział! Nie chcę powtarzać, co on powiedział, ale to wcale nie było piękne słowo...

(Ciąg dalszy nastąpi.)